

Przed hotelem nawinał nam się otwarty powóz. Skinałem na woźnicę i wsiedliśmy. Noc cudownie była łagodna i piękna na wąskim polu nieba, pomiędzy wysokimi dachami ulicy mrugały gwiazdy jakoś porozumiewawczo. Uśmiechnętem się do tych gwiazd... Spokój był w przyrodzie, spokój w mojej duszy.

— Nie jedźmy prosto do domu — rzekła Roza, gdy woźnica zwrócił się po rozkazy. — Sądzę, że miłoby było przejechać się trochę!

Kazaliśmy więc woźnicy jechać jak najdalej wzdłuż bulwarów, a potem Polami Elizejskimi do Lasku Bulońskiego.

Sekwana spała, jak srebrny wąż, w obramieniu swoich opustoszałych bulwarów i tylko cichy hurkot parowca z Wersalu płoszył jej sen. Polyskiwały rzędem światła latarni gazowych... świadcząc mi, że żyje dokoła to ludzkie społeczeństwo, z łona którego już miałem być wyrwany...

A ta cudowna dziewczyna przy moim boku... jak błogo było mi z nią! Nie wiem, czy kiedy dwie ludzkie istoty tak dobrze, tak bezwzględnie, tak głęboko rozumiały się, jak my dwoje — my, co już tyle dobrego i złego przeżyliśmy razem. Więc też i nie potrzebowaliśmy trudzić się rozmową. Dusze nasze rozmawiały — rozmawiały słodko i tajemniczo wśród błogiej ciszy i mroku paryskiej nocy.

I wielu rzeczy dowiedziałem się w biegu tej przejażdżki. Dowiedziałem się, jak głęboko mnie kocha, jak wielką jest jej odwaga, jak szczęście ją unosi. A ona znowu dowiedzieć się musiała, jak gorąco jestem jej wdzięczny — jak wdzięczność ta we mnie ponad wszystkimi góruje uczuciami, gorącej tylko miłości ku niej nie przewyższając!

Z nad bulwarów sennej Sekwany, tak ruchliwej za dnia, a tak dziwnie milczącej po nocy, wjechaliśmy na olbrzymi plac Zgody.

I znowu toczył się gładko nasz powóz wzdłuż Elizejskich Pól. Zaledwie kilka godzin temu, jechaliśmy tą samą aleją, ale jak sprzeczne z teraźniejszemi miotały nami wtedy uczucia! Jakaż teraz pogoda i jaki spokój! Zaledwie od czasu do czasu mijał nas jakiś cicho sunący powóz, lub zapóźniony cyklista z kolorową latarką u steru. I ukazał księżyc — srebrzysty sierp nad domami... blade, łagodne promienie jego zdawały się nas błogosławić.

Wjechaliśmy wreszcie w obręb lasku Bulońskiego. Zatrzymaliśmy powóz pod arkadą drzew;

leciuchny powiew wstrząsał listkami, tak że szemrały... szemrały. Dokoła zalega pustka i jakby przyciszzone jakieś oczekiwanie. Roza wsunęła dłoń swą w moją rękę i wysiedliśmy przejść się nieco po pustych ścieżkach.

— Czy ty wiesz o tem, Karolu — szepnęła Roza z uśmiechem — że ja ci jeszcze czegoś nie powiedziałam?

— I czegoż to, skarbie mój złoty? — zapytałem uśmiechnięty.

— Bo może ty nie wiesz o tem?

Patrzyłem na nią wyczekująco.

— Że kocham ciebie! — szepnęła zarumieniona.

— O powtórz to jeszcze raz!... i jeszcze raz... — odpowiedziałem.

I tak przy szumie drzew, wietrzykiem kołysanych, popłynęły te pierwsze nasze zapewnienia miłości — tem słodsze i tem świętsze, że tak boleśnym okupione cierpieniem.

Wreszcie ku wielkiemu zadowoleniu woźnicy, wsiedliśmy znów do powozu i pojechaliśmy na ulicę Rivoli.

Z żalem żegnałem się z Rozą u wejścia do jej mieszkania.

— Najdroższa — rzekłem przy pożegnaniu — wracamy zaraz jutro do Anglii. Przecież ty sama jesteś prawie Angielką, wkrótce będziesz żoną Anglika. A czyż jest miasto, nad Londyn miłsze?

— To brawda — odpowiedziała. — Dobrze, pojedziemy. „Opéra Comique“ obejdzie się bezemnie. A ja przez dłuższy czas teraz nie zaangażuję się nigdzie. Mniejsza o pieniądze. I ja mam ich dosyć i ty także... Zresztą tak łatwo o nie, gdy komu Bóg dał takie gardło, jak moje...

— Tak — odpowiedziałem. — Zrobimy sobie wakacje po ślubie. Pojedziemy w moje rodzinne strony, tam gdzie się ściągają lilijowe pola wrzosiwisk... Lecz dziecko moje, ty znów wkrótce zapragniesz śpiewać. Przecież w tem życie twoje!

— Nie — odpowiedziała — ty jesteś życiem mojem, nie zaprzeczaj mi!

Po chwili jednak dodała:

— Ale być może, że śpiew jest także częścią mojego życia. Tak jest... nie przestanę śpiewać!

I powiedzieliśmy sobie dobranoc.

.....

O przejściach tych moich przed ślubem z Rozą nie lubiłem nigdy wspominać. Gdy jednakże w parę lat później opisane tu wspomnienia dałem do przeczytania mojemu bratu, dotknął mnie przykro sceptyczny uśmiech, z jakim mi zwrócił pamiętnik.

Lekarzem także był mój brat. Kochaliśmy się bardzo, pomimo różnicy usposobień. Trzeźwiejszy on był odemnie, bardziej zrównoważony i mniej pobudliwym miał wrażliwość.

Popatrzył na mnie i pokiwał głową.

— Karolu — rzekł — czyż rzeczywiście nigdy na myśl ci nie przyszło, czem w życiu twojem był ten dramatyczny epizod?

Podniosłem oczy zdumiony.

— To opętanie twoje... to prześladowające cię widmo?

Zdziwienie moje wzrastało.

— I nigdy, nigdy nie zdałeś sobie sprawy, że Emmelina Smith...

— Emmelina?...

— Że to ona — sama, przejęta zabobonną wiarą w astralny, pozagrobowy byt lorda Clarenceux — wciągnęła ciebie sugestją magnetyczną w krąg swoich własnych przywidzeń?

— Co mówisz! — zerwałem się; było mi, jak gdyby mnie kto ze snu przebudził. Chciałem poprostu oczy przecierać, tak jaskrawe światło olśniło je nagle.

Mój brat spokojnie zapalił cygaro.

— Ta kobieta, organizacja widocznie silniejsza nerwowo, sugestyonowała w dobrej wierze was wszystkich... Znasz z teorii te objawy...

— Tak... z teorii... zapewne... — bąknąłem.

— Zasuggestyonowała Alreskę... zasuggestyonowała i ciebie.

— Biedny Alreska! On to przypłacił życiem!

— I ty bybyś to życiem przypłacił!... I w tem się nie mylisz, mój drogi. Ciebie ocaliła Roza!

— I miłość jej. Niech Bóg jej to nagrodzi!

— I twoja własna miłość ku niej... ta zdrowa, żywotna, silna potęga, która z śmiertelnego obłąd duszę twą wywiodła!

Koniec.

ARNOLD GALOPIN.

## ZAWIKŁANA SPRAWA.

1

Rozdział I.

W owo gorące popołudnie czerwcowe siedziałem właśnie w saloniku w domu mym w Broad-West, w kółku paru dobrych znajomych, Michała Perkinsa, mego szkolnego kolegi, Gilberta Crawforda, milionera, sąsiada mojego ze wsi i ślicznej miss Edyty.

Nie jestem romansopisarzem, lecz tylko prywatnym detektywem, nie potrzebuję więc rozpisywać się o tej panience. To zaś będzie ważniejszym do nadmienienia, że była to niedziela i że graliśmy w bridge'a.

Graliśmy tedy w bridge'a, a pan Crawford, milioner, właśnie wyszedł w dziesiątkę treflową, gdy w tej samej chwili stary Jim, mój służący, zapukał trzy razy do drzwi.

— Masz sobie! Znowu alarm! — zawołał Michał Perkins, z wściekłością rzucając karty — i to właśnie w chwili, gdy gra zaczynała być ciekawą.

— Zbierz karty, Perkins — rzekłem, powstając — to może tylko krótki interes.

Po tych słowach wyjąłem zegarek i dodałem:

— Nasz przyjaciel Crawford wyszedł w trefl... trefl, koniczynka, to wróży szczęście, wróży nadzieję... Spodziewajcie się więc, że wrócę, ale nie liczcie na to za bardzo. Ta karta, to treflowa dziesiątka... Zatem tedy czekajcie na mnie dziesięć minut, a jeżeli nie wrócę po upływie tego czasu, grajcie sobie dalej bez waszego sługi!

Powiedziałwszy to, pożegnałem moich gości i przeszedłem do gabinetu.

Czekał tam na mnie jegomość, w którym odrazu poznałem inspektora policyi. Ci panowie, jak

lekarki wiejskie, wtedy wzywają doktora, kiedy już swem niedoświadczeniem wszystko zdążyły popsuć. O, miałem ja z nimi nieraz do czynienia!

— Jak się pan miewa, panie Mac Pherson! — rzekłem. — I cóż tam? Znów jaka zbrodnia?

— Niewiadomo, panie Dickson.

— Śmierć w każdym razie?

— Tak, panie Dickson.

— Tajemnicza?

— Tak twierdzą jedni... drudzy są wręcz przeciwnego zdania.

— Oco chodzi, krótko mówiąc?

— Oto tak... Musiał pan z pewnością słyszeć o panu Hugonie Chancer... pan wie, ten stary oryginał, który mieszkał w willi Green-Park...

— Naturalnie... więc cóż, ten pan Chancer umarł?

— Jakto? To już pan o tem wie?

— Ależ dowiaduję się właśnie od pana... Mój panie, chcesz mi opowiedzieć o jakiejś podejrzanym śmierci i zaczynasz od tego, że wspominasz pana Chancer... Nie trudno odgadnąć, że pan Chancer jest tu ofiarą. Mów pan dalej, proszę.

— W istocie znaleziono pana Chancera bez życia, dziś rano w jego gabinecie. I sądziliśmy zrazu, pan nadinspektor Bailey i ja, że to śmierć naturalna, dopiero zeznanie, które złożyła pewna służąca, powikłało wszystko... Ketty — tak na imię tej służącej — twierdzi, że około północy z gabinetu swego pana słyszała dolatujące wołanie o ratunek. Twierdzi nawet, że widziała w świetle księżyca, człowieka, wdrapującego się na mur, ogradzający park... Wszystko to brzmi bardzo dziwnie i przyznam się panu, że nie wierzę w to nic a nic.

— A na czem się pan opiera, panie Mac Pherson, że pan tak z góry odrzuca twierdzenia tej Ketty?

— Na czem? Mój Boże! Najpierw na moim doświadczeniu, a potem na mojem dochodzeniu. Żeby się dostać do pana Chancer, musieliśmy, Bailey i ja, najpierw drzwi wyłamywać od jego gabinetu,

gdyż zamknięte były z wewnątrz na silny, stalowy rygiel. I okna były szczelnie pozamykane. Podług mnie, widzi pan, pan Chancer, który był tegi i krwisty, umarł na apopleksję. Ponieważ jednak padło to słowo „zbrodnia“, a sąsiedzi zmarłego domagają się pańskiej interwencji, przyszedłem więc z rozkazu Bailey'a zapytać, czy nie chciałby pan zająć się tą sprawą.

Skinałem głową przytwarzając.

Interesował mnie ten wypadek. Już to, co usłyszałem, dawało mi znowu miarę nieudolności policyi. Nacisnąłem dzwonek elektryczny. Wszedł mój służący.

— Jim — rozkazałem — podaj mój długi palatot piaskowy.

— Na ten upał, panie Dickson?

— Dawaj bez gadania — odpowiedziałem.

Zeszliśmy na dół. Na dole stała dorożka, w niej ujrzałem siedzącego nadinspektora. Szanująca się osoba lękała się widocznie skompromitować władzę, gdyby obojście był poprosił dytanta o pomoc; dla tego wysłał do mnie pomocnika.

— Witam pana, panie Dickson — odezwał się chłodno.

— Witam pana, panie Bailey... No i cóż, potrzebujecie panowie mojej pomocy?

Nadinspektor lekko wzruszył ramionami, co można było rozmaicie tłómaczyć, ale ja uśmiechnąłem się tylko, przywykły do nieświeżych manier tego złe wychowanego człowieka.

W chwili, gdy już miałem wychodzić z bramy, dopomógł mi mister Crawford.

Mój sąsiad, bogacz, miał kapelusz na głowie i minę trochę zmieszana.

(Ciąg dalszy nastąpi).